

Orędownik

Geno
egzemplarza

10
groszy

Ilustrowany dziennik narodowy i katolicki

Nr. 216

Wydanie

L

Rok 67

Niedziela, dnia 19 września 1937

Już w następnym numerze „Orędownika“

ogłosimy szczegóły i warunki wielkiego konkursu rozrywkowego o 300 cennych nagród!

A więc pamiętajcie, już jutro!

Zamiast kara śmierci — dożywotnie więzienie

Wyrok na mordercę ś. p. wachmistrza Jana Bujaka

Zbrodnia Judki Chaskielewicz wynika z bezwzględnie wrogiego nastawienia mordercy do państwa polskiego, a zbrodniarz tego typu, co Chaskielewicz, działający w stanie normalnym, zasługiwałby na stryczek

Warszawa. (Tel. wł.) Sąd Apelacyjny ogłosił wyrok w sprawie Lejby Judki Chaskielewicz, skazanego na karę śmierci za zamordowanie wachmistrza pułku ulanów w Mińsku Mazowieckim, śp. Jana Bujaka. Sąd Apelacyjny uchylił wyrok I instancji — karę śmierci, skazując Chaskielewicza na dożywotnie więzienie.

Z motywów wyroku wynika, iż sąd zastanawiał się głównie nad kwestią poczytalności oskarżonego. Zdaniem Sądu Apelacyjnego należy przyjąć na podstawie materiału sądowego, że poczytalność Chaskielewicz w momencie czynu była zmniejszona. Wprawdzie miał on świadomość znaczenia swego zbrodni, natomiast zdolność kierowania swym postępowaniem miał wówczas ograniczoną w znacznym stopniu. Sąd Apelacyjny oparł się w tej mierze na opinii biegłych-psychiatrów: prof. Lunińskiego, Galusa, Stefera, Dreschera i Szczyta, którzy w wy-

niku wielokrotnych badań i sześciotygodniowej obserwacji Chaskielewicz stwierdzili, że jest on jednostką neuro-psychoopatyczną. Sąd nie znalazł prze-

stanek do przeciwstawienia się tej ekspertyzie. Błędny natomiast jest pogląd, wyrażony przez obronę Chaskielewicz, iż Sąd Okręgowy nie wskazał

motywów czynu oskarżonego. Zbrodnia Chaskielewicz wynika z bezwzględnie wrogiego nastawienia oskarżonego do państwa polskiego oraz do jego armii. Gdy Chaskielewicz nie mógł urzeczywistnić swych zamiarów zbezczeszczenia armii dukiem, dał upust swej nienawiści w zamachu na wachmistrza Bujaka.

Przechodząc do wymiaru kary, wobec uznania oskarżonego za działającego ze zmniejszoną poczytalnością, Sąd Apelacyjny uważa, że kara śmierci z tego właśnie powodu nie może być do niego zastosowana, aczkolwiek zbrodniarz tego typu, co Chaskielewicz, działający w stanie normalnym, zapewne na taką karę by zasługiwał.

Uchylenie wyroku śmierci na mordercy polskiego żołnierza wywołało wśród zebranych na sali świadków, rekrutujących się spośród ulanów pułku z Mińska Mazowieckiego, ogromne wrażenie. (w)

Polak, obrońca Chaskielewicz, spoliczkowany

Zajście miało miejsca na rozprawie przeciw mordercy śp. wachm. Bujaka

Warszawa. (Tel. wł.) Wczoraj podczas procesu Żyda Chaskielewicz, mordercy wachm. Bujaka, do obrońcy adw. Dąbrowskiego, Polaka, podszedł jakiś młody człowiek, który ze słowami: „ty żydowski pacholku!“ spolicz-

kował go.

Obecni przy tym adwokaci i aplikanci Żydzi zatrzymali demonstranta i wydali go w ręce policji. Okazało się, iż jest to młody narodowiec Dunajewski. (w)

Szczelna blokada Gijonu

Wznowienie działań lotnictwa

Madryt. (PAT) Korespondent agencji Havasa donosi, że w północnej części prowincji Guadaluajara oddziały wojsk rządowych prowadzą intensyw-

ne zwiady na zachód od drogi prowadzącej do Aragonu.

Liczne oddziały kawalerii po wyparciu powstańców z miejscowości

Cerro Cabeza i Valverde de Lossarroys miały dotrzeć do granic wąwozu Samosierra, zajmując kilka miejscowości położonych niedaleko źródeł rzeki Jarama.

Oddziały rządowe przebywały około 25 km nie napotykając na znaczniejszy opór nieprzyjaciela.

Madryt. (PAT) Agencja Havasa donosi, że wojska rządowe odparły gwałtowne ataki powstańców na odcinkach Cerro dela Guila, Cuestadelas, Perdices i Arroy de Pozuelo.

St. Jean de Luz. (PAT) Wobec poprawy warunków atmosferycznych lotnictwo powstańcze podjęło akcję, dokonując bombardowania różnych obiektów na froncie madryckim, aragońskim oraz w porcie Gjon.

Bordeaux. (PAT) Agencja Havasa donosi: W czwartek wszedł do portu Pallice angielski statek handlowy „Stanmore“. Statek ten, wysłany celem zabrania uchodźców z Riva de Sella w pobliżu Gijon, musiał zawrócić z drogi o 5 mil od wybrzeża, ostrzeliwany przez przybrzeżną artylerię powstańczą.

Żółwie śledztwo

Paryż. (Tel. wł.) Śledztwo w sprawie znanych zamachów bombowych trzymane jest w ścisłej tajemnicy. W związku z aresztowaniem anarchisty włoskiego Tamburiniego krąży pogłoski, iż przytrzymany wykazał swoje alibi. Według innych pogłosek ślady zbrodniarzy prowadzi ku okolicom Brukseli.

Echa zajść w Małopolsce

Warszawa. (Tel. wł.) W czasie pobytu ks. kard. Hlonda w Warszawie złożył mu wizytę prezes Stronnictwa Ludowego, Rataj, który przedstawił położenie ludności na tych terenach Małopolski, gdzie niedawno rozgrywały się znane wypadki. (w)

Aresztowania narodowców w Czeladzi

Sosnowiec, 17. 6. W nocy z 13 na 14 bm. policja czeladzka dokonała szeregu aresztowań wśród członków Stronnictwa Narodowego w Czeladzi. Między innymi aresztowani są 16-letni chłopcy. Nazwiska aresztowanych są następujące: Konieczny Jan, Gruszczyk Witold, Leopolski Czesław, Mierziński Teofil, Kryczek Tadeusz, Stanek Bolesław, Machoń Euzebiusz, Szwed Stanisław i Ciechowski Witold. U Ciechowskiego dokonała policja rewizji mieszkaniowej, która nie dała obciążającego wyniku.

W środę, dnia 15 bm., na polecenie sędziego śledczego wszystkich aresztowanych przewieziono do więzienia w Będzinie. Powód aresztowania na razie nie jest znany.

Niepokojująca obniżka franka

Paryż. (Tel. wł.) Stała obniżka franka wzbudza wśród całego społeczeństwa duży niepokój. Mimo uspokajających komentarzy prasy finansowej, położenie franka uważane jest nadal za niezadawalające, a to głównie wskutek czynników natury politycznej.



Narodowa Łódź wita żołnierzy

**Na pogorzalców wsi
Roszki-Ziemaki**

w dalszym ciągu złożyli w naszej administracji:

Stronnictwo Narodowe w Poznaniu koło Jeżyce, złożone na zebraniu, I rata	15,— zł
Urzędnicy Banku Pozn. Ziemstwa Kredytowego	73,— „
Wacław Jankowski	4,— „
Spółka „Nieruchomość” św. Marcin 65	20,— „
Łożyńska	2,— „
T. T.	150,— „
W. Gładysz	10,— „
Razem z poprzednio pokwitowanymi	554,90 zł

Jednoczesny zgon braci

Stryj. (Tel. wł.) W Stryju odbył się wczoraj pogrzeb 85-letniego Jana Zapaszała oraz jego 75-letniego brata Franciszka, którzy zmarli w jednym dniu. Obaj do ostatniej chwili cieszyli się dobrym zdrowiem, a w ostatnich tygodniach przepowiadali, iż niedługo umrą razem, jednego dnia. (w)

**Poniatowski odmówił
Studnickiemu**

Warszawa. (Tel. wł.) Władysław Studnicki przygotowuje pracę poświęconą dziejom reformy agrarnej w Polsce w ciągu ostatniego 10-letnia.

W związku z tym zwrócił się do min. Poniatowskiego z prośbą o udostępnienie mu materiałów, znajdujących się w archiwum Min. Rolnictwa, na co otrzymał odpowiedź negatywną bez podania powodów. (w)

Wydreptała posadę

Jarosław. (Tel. wł.) Jedna z absolwentek Seminarium Nauczycielskiego w Jarosławiu czekała bezskutecznie sześć lat na posadę. Przed rozpoczęciem roku szkolnego udala się pieszo z Jarosławia do Lwowa, biorąc z każdej miejscowości po drodze zaświadczenie, że idzie pieszo do Lwowa. Po tygodniu wędrowki stanęła w Kuratorium Lwowskim, gdzie po przedstawieniu swej prośby, popartej wyżej wspomnianymi zaświadczeniami, otrzymała posadę, którą już objęła. (w)

Łódzkie widoki

Zawodowi kłamcy

Żydowska „Republika” po raz trzeci „piętnuje” tych lekarzy-Polaków, którzy na ostatnim zebraniu obwodu łódzkiego Zw. Lekarzy „ośmielili się” powiedzieć wyraźnie i stanowczo, że „dalsza współpraca z lekarzami-Żydami jest niemożliwa”. Konia z bryczką temu, kto zrozumie o co chodzi Żydom z „Republiki”. Bo niby, skoro większość lekarzy-Żydów tzw. paragraf aryjski odrzuciła, a mniejszość złożona z Polaków, na znak protestu salę obrad opuściła — to chyba wszystko się stało po myśli interesów żydowskich.

Tak, czy nie?

Ba, kiedy Żydzi pragnęli, aby wszyscy Polacy we wszystkich stanach i zawodach myśleli po żydowsku. Denerwują się więc, jeśli znajdzie się chociaż mała grupa Polaków, która nie pozwoli się sterroryzować. Nie tylko się denerwują, ale wręcz denuncjują i szykanują.

Czy im to co pomoże?

Na marginesie tej sprawy panowie starozakonni z „Republiki” nie omieszkałi też uszczepnąć w piętę Stronnictwo Narodowe, pisząc tak:

„W ciągu ostatnich lat Niemcom udawało się przedostawać do organizacji nacjonalistycznych polskich, pod hasłem ich „aryjskości”. Charakterystycznym przykładem była frakcja narodowa w Radzie Miejskiej, w której nie brakowało ich przedstawicieli. Byli oni członkami Stronnictwa Narodowego i należeli także w poważnej liczbie do partii polskich narodowych socjalistów.”

Twierdzenie, że radni narodowi w rozwiązanym Radzie Miejskiej w poważnej liczbie należeli do partii polskich narodowych socjalistów — jest czymś wymysłem panów abisynczyków. Zamiast więc łączyć na ten temat, lepiej by było powiedzieć wreszcie prawdę o składzie żydo-socjalistycznej większości. Pierwsze skrzypce grała tam najczęściej komunistyczna z „towarzyszem” Zdziechowskim na czele.



Na tle głośniego dziś, z powodu aresztowania kierownika pracy narodowej w Zamojszczyźnie p. Kazimierza Rzewuskiego, dworu w Ewusinie, pow. zamojskiego, uczestnicy jednego z wielu kursów organizacyjno-ideowych Str. Narodowego.

W środku wiceprezes Zarządu Okr. S. N. Kazimierz Kowalski (oparty na

lasce), obok jego małżonka, na lewo obok niej znany działacz narodowy z okręgu częstochowskiego radny m. Częstochowy p. Edmund Gliniski, na prawo od p. Rzewuskiego p. Wł. Mayer z Kłobucka. Wszyscy od 22 sierpnia aresztowani i osadzeni w więzieniach Tomasz Lubelskiego, a ppł Rzewuski i Gliniski ostatnio w Lublinie.

„Sanacyjny” Z. Z. Z. w sojuszu z Żydami

Niepoczyna nagonka przeciw narodowcom

Kielce, 17. 9. W Małogoszczu niejaki Maciejewski, sekretarz sanacyjno-czerwonego ZZZ. z Kielc, urządzą zebrańnię dla szweców - chałupników, na które przybyło około 40 osób z okolicznych wsi, przeważnie zakapturzonych wyznawców komunij.

Wobec takiego audytorium Maciejewski nieprzytomnie atakował Stron. Narodowe, „Pracę Polską”, a nawet prezesa R. Dmowskiego. Wreszcie oświadczył, że poczyni wszelkie stara-

nia u nakładców obuwi Żydów, aby ani jeden szwec - chałupnik, członek Str. Nar., czy „Pracy Polskiej” nie otrzymał pracy.

Tak bezwstydnym wyznaniem rzekomego „opiekuna robotników”, uważającego się podobno za Polaka, odbiło się głośnie echem w Małogoszczu i okolicy. Oczywiście na zebraniu tym nie było narodowców, bo gdyby byli, ten sejmik żydowski dostałby stosowną nauczkę.

Niezwykły lęk pana dyrektora

Najpierw nabroil, a później odgrodził od świata swoje 10-pokoje mieszkanie wysokim płotem

Katowice. (AJS) Ostatni długotrwały strajk okupacyjny a w końcu i głodowy załogi fabryki kabli i drotu w Będzinie, który odbił się głośnie echem nie tylko na Śląsku, ale i w całej Polsce, ponieważ wynikł na tle niezwykle tyranii jej dyrektora Edwarda Czajki, przyspieszył powrót z Paryża likwidatora Banku Śląskiego dyr. Rohmera. Dyr. Rohmer z miejsca zwolnił kierownika fabryki Czajkę oraz polecił przyjąć do pracy wszystkich zwolnionych przezeń robotników. Obecnie fabryka czynna jest z powrotem w pełnych rozmiarach.

Wskutek długotrwałego strajku fa-

bryka posiadając terminowe zamówienia poniosła wielkie szkody, co w pierwszym rządzie było przyczyną natychmiastowego zwolnienia Czajki. Drugą przyczyną zwolnienia Czajki były jego wydatki na zapewnienie sobie osobistego bezpieczeństwa. Obawiając się bowiem zemsty robotników, p. Czajka kazał ogrodzić budynek biurowy wysokim płotem, a dostęp do swego 10-pokojowego mieszkania zabarykadował specjalnie skonstruowanymi drzwiami żelaznymi. Przy opuszczaniu przez Czajkę fabryki eskortowali go z przodu i z tyłu uzbrojeni w broń pałą dozorczy.

Siedem miesięcy w więzieniach czerwonej Hiszpanii

Rewelacyjna czeska książka — Więzienie w Maladze — Ludzkie hekatomby — Żydowsy oprawcy — Rzeź niewiniątek w Toledo — „Niech żyją faszyci bez głów!” — Morze krwi w Katalonii — Socjaliści szwajcarscy potępiają czerwoną Hiszpanię — Dwie szale

Rewelacją czeskiej publicystyki ostatnich tygodni jest wstrząsająca książka prawosławnego księdza F. Vicenika pod tytułem: „Siedem miesięcy w czerwonej Hiszpanii”, będąca pamiętnikiem przeżyć osobistych autora, wydana przez narodową bibliotekę czeską „Vlajka”. Treść tej książki jest tak porażająca, że do jej przedruku w nakładzie 100 tysięcy egzemplarzy przystępują niebawem Niemcy.

Książk Vicienik był misjonarzem w Afryce i w okresie wybuchu powstania narodowego w Hiszpanii powracał do ojczyzny tj. do Rumunii z rodziną. W Maladze został aresztowany przez czerwonych i ponieważ wśród jego papierów znaleziono fotografię z dostojnikami wojskowymi z Maroka hiszpańskie, uznano za szpiega i osadzono na karę śmierci, którą potem zamieniono na 20 lat więzienia. Nim czeski misjonarz zdołał więzienie opuścić, dziecko jego czerwoni milicjanci rzucili w Maladze z czwartego piętra szpitala na ulicę, a matkę nad zamordowanym

dziecięciem pękło serce z żalu. Pamiętnik czeskiego księdza, napisany po ucieczce z czerwonego piekła, jest nie tylko serdecznym płaczem i strasznym oskarżeniem katów komunizmu, jest także przestroga dla tych, co nie chcą prawdy hiszpańskiej tragedii przejrzeć do dna.

Oto kilka obrazków z książki ks. Vicienika, które niewątpliwie zatargają sumieniem wszystkich Polaków. W Maladze zamknięty czeskiego misjonarza do celi, gdzie w miejscu na 12 musiało się zmieścić 120 osób. Komentantem tego więzienia był komunista, krawiec z Odessy — Żyd Janekiel Midlin. Podczas pierwszej przechadzki więźniów Midlin stojący na środku dziedzińca rzekł, iż mu Bóg telefonował, że potrzebuje 15 duszyczek, które by się modliły o zwycięstwo generała Franco, po czym dodał: „Widzicie, że nawet Bóg waszego Franca nie chce wysłuchać. Tak, towarzysze, 15 duszek ekspresem do Boga!” W mgnieniu oka milicjanci zastrzelili 15 osób, Midlin

**Stronnictwo Ludowe
na bezdrożach**

W dniu 19 bm. odbędzie się w Warszawie zlot młodzieży socjalistycznej z całej Polskiej, w którym weźmie udział także delegacja młodzieży ludowcowej „Wici”.

Nie wywoła to zadowolenia w tych kółkach Stronnictwa Ludowego, które głoszą swój katolicyzm i odcinają się od lewicy. Stwierdzić trzeba, że Stronnictwo Ludowe jest terenem licznych rozdziewiętów i rozbieżności, które sprządzają je na bezdroża.

Paderewski nie chce mówić o sytuacji wewnętrznej Polski dziennikarzom zagran.

Warszawa. (Tel. wł.) Jak się dowiadujemy z kół dobrze poinformowanych, kilka dzienników francuskich i angielskich zgłosiło się do Ignacego Paderewskiego o wywiad w sprawie politycznego położenia w Polsce.

Paderewski odmówił im wywiadu motywując to tym, iż w wewnętrznych sprawach Polski nie chce poruszać na łamach pism zagranicznych. (w)

Na marginesie

Koncentracja sił — i koncentracja słów

Wydawane w Katowicach przez dra Władysława Tempkę nowe pismo „Zwrot” w 3 numerze pisze w notatce pt. „Koncentracja Stronnictwa Narodowego”, na temat ostatnich manifestacji Stronnictwa Narodowego w ten sposób: „Entuzjam prasy narodowej po manifestacjach w dniu 15 sierpnia jest usprawiedliwiony, bo manifestacje były dość liczne. Okazało się również, że oddziały Stron. Nar. są dobrze zorganizowane i ożywione duchem bojowym.”

A dalej: „Podnieść należy także to, iż kilkanaście zebrań Str. Narodowego odbyło się także na ziemiach wschodnich, gdzie dawniej wszechwładnie panowała „sanacja”. Obecnie Stron. Narodowe znów wkracza na te tereny, odzyskując stan posiadania sprzed roku 1926.”

Jak na pismo dra Tempki — to tyle dość! Ale... trochę dalej w opisie uroczystości ludowcowych wali cyframi „na okrągło”... dziesiątki tysięcy manifestantów ludowych w — powiatowych miasteczkach! Np. Nowy Targ — „smaruje” 20.000 (słownie „dwadzieścia tysięcy”) — podczas gdy organ ludowców podaje 4.000 (cztery tysiące). Kto zna Nowy Targ — ten i z tego się śmieje!

I poco to?... Obydwa pisma są drukowane w jednej drukarni, mają bliższe cele. Może by się przed tym porozumieć?!

Czytajcie i abonujcie „Ilustracje Polska”!

kowa przed nadejściem wojsk gen. Franco.

W Leridzie (w Katalonii), gdzie komisarzem był Baruch Sapocznik z Żytomierza, więźniowie konwojowani z Malagi, która była zagrożona, zobaczyli przed kościołem wielu księży z uciętą głową. Na piersiach mieli zawieszone napisy: „Za znalezienie mej głowy udzieni papież 300 dni odpustu. A paszporty do Rzymu wydaje trybunał rewolucyjny”. Inne trupy miały napisy: „Dla faszystów straciliśmy nawet głowę”, lub „Niech żyją faszyci, ale bez głów!” Na latarni ulicznej zawieszono napis: „Tylko w ten sposób zwycięży czerwona Hiszpania nad faszyzmem”. Na Wielkanoc czerwoni w Leridzie pozwolili więźniom odprawić mszę św. W czasie jej jakiś milicjant krzyczy, że on rozumie po łacinie i słyszy, jak kapłan modli się o zwycięstwo dla narodowców. Księdza rozstrzelano.

W dalszym ciągu książki ks. Vicensa opowiada o mroźnych krew w żylach krwawych rekwizycjach w Katalonii, o masowych mordach chłopów i anarchii w tej prowincji. Dalej pisze o wielkim wiecu partii socjalno-demokratycznej w Genewie, gdzie uroczyste potępiono komunizm i czerwony rząd hiszpański. Na wiecu wspomniano m. i., że werbunek ochotników do Hiszpanii kończył się zwykłą defraudacją funduszy przez kierownictwo, zazwyczaj Żydów. M. i. Hersz Rojtman, krewny Zinowiewa z Białej Cerkwi na Ukrainie, wysłany do Hiszpanii przez Komintern, zabrał 600 tys. dolarów i obecnie jako bankier Grigorij Krinkow potępia komunizm.

Jak wynika z książki Vicensa, w której załączony jest szereg dokumentów, najpodlejszą rolę w hiszpańskiej rewolucji odegrał Żydzi. Książka czeskiego kapłana jest jeszcze jednym dokumentem, rzuconym na szalę losów Europy. Szala ta to komunizm i ustrój narodowy.

JAN BIELATOWICZ

Ruch zarobkowy w hutnictwie żelaznym

Warszawa. (Tel. wł.) W Sosnowcu toczyły się ostatnio pertraktacje między organizacjami pracodawców i robotników hutnictwa żelaznego w Zagłębiu Dąbrowskim, celem zlikwidowania zatargu na tle wypowiedzenia umowy zbiorowej. Rokowania doprowadziły do uzgodnienia części spraw spornych, pozostałe zaś kwestie, m. i. sprawa podwyżki płac poddane będą arbitrażowi Ministerstwa Opieki Społ.

Zderzenie tramwajów w Warszawie

Warszawa. (Tel. wł.) Wczoraj w południe na rogu ul. Młynarskiej i Leszna tramwaj linii B wjechał na przyczepkę tramwajową linii 16. Wskutek zderzenia sześciu pasażerów odniosło obrażenia. Są to: Jan Jeżulkowski, Józef Stelmach, Stef. Ostrowska, Józefa Łabasiewicz, Wincenty Wicek oraz Stanisław Lipiec. Stwierdzono, że motorniczki winy nie ponosił, gdyż wypadek zdarzył się wskutek wadliwego działania hamulca.

Urzednicy wobec podatku specjalnego

Warszawa. (Tel. wł.) Na ostatnim posiedzeniu międzyzwiązkowego komitetu Stowarzyszenia Urzędników Państwowych rozpatrywana była sprawa sytuacji urzędników w świetle nowego opracowanych preliminarzy budżetowych państwa na nadchodzący rok. Projekty te przewidują na uposażenia urzędnicze kwotę około 1.300 milionów złotych. Gdyby specjalny podatek od uposażeń urzędniczych uległ zniesieniu a zastąpiony był podatkiem dochodowym, mogłoby to odbić się na wysokości płac urzędniczych. W związku z tym zapadła uchwała zwolnienia posiedzenia Centralnej Komisji Porozumiewawczej Pracowników Państwowych, Samorządowych i Prywatnych celem ustalenia terminu ogólnego - urzędniczego kongresu.

Odbił się też niezwykle burzliwy wiec pracowników samorządowych w Warszawie, który stanowczo domagał się zwolnienia ogólnego kongresu i ustalenia sposobu wystąpienia w sprawie zniesienia podatku specjalnego.

Kalisz dziękuje „Orędownikowi”

Idea unarodowienia życia gospodarczego w Polsce odnosi pełne zwycięstwo

Od prezesa Stowarzyszenia Kupców Polskich w Kaliszu, p. Eugeniusza Sypniewskiego, otrzymał dziś zarząd wydawnictw „Drukarni Polskiej” S. A. w związku z pobytem wycieczki kaliskiej w Poznaniu w dniu 12 bm. nader serdeczne pismo, w którym czytamy, co następuje:

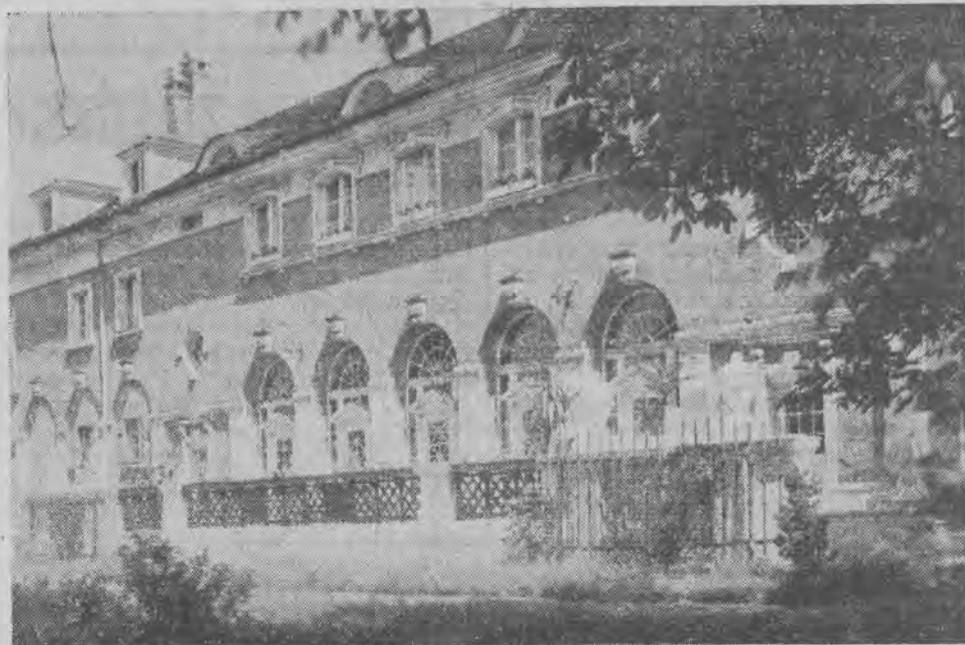
„Chrześcijańskie Zrzeszone Organizacje Gospodarcze m. Kalisza za naszym pośrednictwem przesyłają Wydawnictwom Drukarni Polskiej S. A. w Poznaniu jak najserdeczniejsze podziękowanie za entuzjastyczne i wspólnie przyjęcie, jakie sferom gospodarczym m. Kalisza zgotowała ludność m. st. Poznania w dniu 12 bm. w czasie rewizyty Kaliszan w Poznaniu, a w szczególności „Orędownikowi” i „Kurierowi Poznańskiemu”, będąc z po-

dziwem dla tych dzienników za szybkie informowanie i sprawozdanie tak o wycieczce jak i o przebiegu uroczystości.”

W zakończeniu prezes E. Sypniewski pisze:

„Jeszcze raz jak najmocniej dziękujemy za tyle okazanego nam serca, uprzejmości i zapewnienia ciągłej i żywej przyjaźni. Ze swej strony zapewniamy sfery gospodarcze Wielkopolski, że nawiązaną łączność będziemy się starali jak najlepiej wykorzystywać dla obopólnego dobra będąc pewni zwycięstwa idei unarodowienia życia gospodarczego w Polsce, o które to cele nieustannie i z tak wspaniałymi rezultatami walczą „Orędownik” i „Kurier Poznański.”

Do młodzieży męskiej wsi i miast



Uniwersytet Ludowy w Dąbkach, p. Gnieźno, mający na celu danie ogólnego wykształcenia najszerszym warstwom naszego narodu i podciągnięcie ich na wyższy stopień kulturalny, rozpoczyna z dniem 1 listopada 1937 roku W programie wykładów wielką wagę poświęca się między innymi, aktualnym niezmiernie zagadnieniom

społecznym i oświatowym doby dzisiejszej.

Zgłaszać może się każdy młody człowiek z ukończonym 18 rokiem życia. Dla członków organizacji przewidziane są ulgi w opłatach.

Po szczegółowe informacje prosimy zwracać się do Dyrekcji Uniwersytetu Ludowego, dołączając znaczek pocztowy na odpowiedź.

Brał pieniądze za podróże, których nie było...

Szczegóły skandalicznej afery b. starosty Wąsa

Akt oskarżenia, doręczony b. starości z Jarosławia Wąsowi, zawierający 136 stron pisma maszynowego, został wygotowany przez prokuratora Sądu Okręgowego w Przemyślu, dra Ciszkowicza.

Akt oskarżenia zarzuca p. Wąsowi, że w marcu 1933 roku, w związku z urzędowaniem jako starosta, przedstawił podrobione rachunki, na których figurowały podpisy W. Geigera, wydziałowi powiatowemu dziewięć razy, celem zainkasowania gotówki.

Dalej zarzuca przywłaszczenie 579 zł z funduszy kolonii letniej.

Akt oskarżenia wlicza 13 wypadków zrealizowania rachunków, tytułem zwrotu kosztów podróży, niezgodnych z prawdą, w okresie lat 1932

do 1935.

Dnia 24 kwietnia 1934 r., starosta Wąs jako urzędujący przewodniczący wydziału powiatowego w Jarosławiu, celem osiągnięcia korzyści majątkowej w postaci odroczenia terminu płatności zaliczki, podpisał niezgodną z prawdą asygnację, oraz asygnację na 850 zł 25 gr, 1741 zł 35 gr, jako rzekomo przez niego i na 900 zł, jako rzekomo przez kasę wydziału powiatowego wydatkowane.

Poza tymi faktami, akt oskarżenia zawiera jeszcze kilkanaście innych przestępstw.

Zaznaczyć należy, że p. Wąs był szczególnie zażartym „sanatorem” i rządu w powiecie sprawował „twardą ręką”.

Niestłuchane żądanie adwokata Żyda

Żydowski żądania w procesie Polaków — Żyd chce, aby sąd polski świętował Jom-Kipur

Słomniki, 15. 9. Do jakiej bezczelności posuwają się Żydzi, niech świadczy fakt, jaki ostatnio miał miejsce w Sądzie Grodzkim w Słomnikach (obok Krakowa).

W dniu 15 września rb., odbywała

się przed tymże Sądem sprawa cywilna między dwoma Polakami. Zastępujący stronę pozwaną adwokat - Żyd Benno Sternberg wniósł podanie o odroczenie rozprawy, oświadczając, że tego dnia „zjawić się” nie może, gdyż

obchodzi uroczyste święto „Sądnego dnia” (Jom Kipur).

Zastępca strony przeciwnej adwokat Edward Braum, znany z procesu o zajęcia myślenickie, energicznie sprzeciwił się niesłychanemu żądaniu adwokata - Żyda, składając oświadczenie, że nie zachodzą żadne przeszkody do rozpoznania sprawy, gdyż święto Jom Kipur jest sprawą wewnętrzną adwokata - Żyda, który tego dnia może zarabkować lub nie, w zależności od swego upodobania, nie powinno to jednak wpływać na normalny tok spraw w Sądzie Polskim, pomiędzy stronami - Polakami. Gdyby w dniu 15 września wszyscy adwokaci - Żydzi w apelacji krakowskiej wystąpili z tego rodzaju żądaniem, a jest ich 79 pct ogółu adwokatów, to niewątpliwie spowodowałyby to zupełną dezorganizację w wymiarze sprawiedliwości; w ten sposób do obchodzenia święta Jom Kipur, czy też „kucek” byłby zmuszony także adwokat - Polak i ta strona procesowa, która nie wierzy w „gieniałość” narodu wybranego.

Po wysłuchaniu oświadczenia adwokata Brauma, Sąd Grodzki w Słomnikach w osobie sędziego L. Sidora postanowił sprawę rozpoznać.

W ten sposób próba przyczynienia w kalendarzu sądowym nowych „święta” w postaci Jom Kipur i „kucek” spaliła na panewce. (g)

Na uboczu

Zabawa w ślepa babkę

Odbił się w Warszawie międzynarodowy kongres przeciwalkoholowy. Mimo szczerych chęci nie dajemy sprawozdania z tego zjazdu. Nie umiemy bawić się w ślepa babkę! Nie rozumiemy słów, za którymi nie idą czyny!

Uchwał zjazdu — stwierdza „Wielkopolec” — nie uważamy za skuteczne już choćby dlatego, że na otwarciu kongresu wśród pierwszego rzędu dygnitarzy widzieliśmy jedną z osób, doprawdy już nazbyt głośną w Polsce, tę samą, która miesiąc temu w bezprzykładnie pijanym stanie, z rewolwerem w rękę, urządziła skandaliczną burdę na rynku w Starogardzie.

Może organizatorzy kongresu zechcą nam wyjaśnić: jaki cel mają w zapraszaniu na obrady przeciwalkoholowe ludzi, dla których wódka jest bodaj połową świata?

Cała Polska wie o zmuszaniu przez pijanego osobnika Bogu ducha winnych przechodniów do kłęknięcia pod groźbą rewolweru na bruku starogardzkim, lecz nikt z nas nie wie, jak zareagowały na to niesłychane pogwałcenie godności osobistej obywateli wolnej Polski przełożone władze.

Czy dowiemy się o tym i kiedy?

Giędy zbożowe

Poznań

Poznań, 17. 9. 1937 r.

STANDARTY: Pszenica 742 g/l.

Ceny transakcyjne:

Owies 15 tonn par. Poznań 21,80
Owies 35 tonn par. Poznań 21,75
Owies 15 tonn par. Poznań 21,25

Ceny orientacyjne:

Żyto nowe zdane do przemiału 22,25 — 22,50
Usposobienie spokojne.
Pszenica 20,75 — 30,25
Usposobienie spokojne.
Jęczmień browarowy 23,00 — 24,00
Jęczmień 673—678 g/l. 20,00 — 20,50
Jęczmień 700—717 g/l. 21,00 — 21,25
Usposobienie stałe.
Owies 20,75 — 21,50
Usposobienie stałe.
Mąka żytnia gat. I 0-50% 32,25 — 33,25
Mąka żytnia gat. 0-55% 30,75 — 31,75
Mąka żytnia gat. II 50-65% 23,75 — 24,75
Usposobienie spokojne.
Mąka pszen. gat. I wys. 0-30% 49,50 — 50,00
Mąka pszen. gat. I 0-50% 45,50 — 46,00
Mąka pszen. gat. I-A 0-65% 43,50 — 44,00
Mąka pszen. gat. II 30-65% 40,50 — 41,00
Mąka pszen. gat. II-A 50-65% 35,50 — 36,00
Mąka pszen. gat. III 65-70% 32,50 — 33,00
Usposobienie spokojne.
Otreby żytnie stand. 15,50 — 16,25
Otreby pszenne grube stand. 17,00 — 17,25
Otreby pszenne średnie stand. 16,00 — 16,25
Otreby jęczmienne 15,50 — 16,50
Rzepak zimowy 54,00 — 56,00
Słemie lniane 44,00 — 47,00
Gorczyca 37,00 — 39,00
Groch Wiktoria 23,00 — 24,50
Groch Folgera 22,00 — 23,50
Mak niebieski 76,00 — 79,00
Ziemiaki fabr. za kilo % 0,19 — 0,20
Makuch lniowy w tafłach 23,75 — 24,00
Makuch rzepak. w tafłach 20,50 — 20,75
Makuch słoń. w tafłach 42—43% 25,25 — 26,00
Srut Soja 25,00 — 26,00
Słoma pszen. luzem 4,95 — 5,20
„ pszen. prasowana 5,45 — 5,70
„ żytnia luzem 5,30 — 5,55
„ żytnia prasowana 6,05 — 6,30
„ owsiana z zem 6,35 — 6,60
„ owsiana prasowana 5,85 — 6,10

W niedzielę, dnia 19 bm. o godz. 13 nastąpi uroczyste otwarcie wystawy przemysłowo-handlowej „Wytwórczość polska” w Łodzi
Park Staszica Park Helenów

Sukces plastyków łódzkich

Doroczna wystawa Polskiego Związku Łódzkich Plastyków wykazała duży postęp techniczny u ogółu — Teraz kolej na na zdobycze ideowe i tematyczne

Łódź, 17 września

Doroczne wystawy Polskiego Związku Łódzkich Plastyków są rewią rocznego dorobku łódzkiej plastyki i porównując tegoroczną wystawę z poprzednimi, śmiało można ją określić jako wielki sukces.

Jak już wspominaliśmy, w tym roku łódzcy plastycy wystąpili ze znacznie mniejszą liczbą dzieł, ale za to poziom ogólny podniósł się niewspółmiernie. O ile w latach ubiegłych wystawy grupowały wiele obrazów bardzo miernej wartości i tylko nieznaczna część eksponatów stała na należytych poziomach artystycznym, to teraz mamy na ogólną liczbę 77 eksponatów tylko nieznaczny procent prac słabych lub przeciętnych, a przynajmniej większość to owoce dużego wysiłku i talentu.

Takie określenie jest oczywiście bardzo ogólne, trudno jednak w artykule sprawozdawczym szczegółowo omawiać każdego z wystawców. Poprzestaniemy tedy na ogólnikowych wzmiankach. Zaczynamy od debiutanta. Zieliński Kostka-Roman wystawił aż sześć prac, które też świadczą o dużej sile talentu, co i o poszukiwaniach własnej formy. Za wyjątkiem dwóch prac obrazy bardzo ciekawe i wiele obiecujące. Jeśli ten artysta znajdzie swoją formę, będzie to dla Łodzi nielada nabytek, tyleż ze względu na wielką jego indywidualność, co i na wielkie możliwości formalne.

Burdziński ma już swą pozycję i tego roku dał również rzeczy godne swej dziedziny (kwiaty) i siebie. Prof. Dobrowolski wystawił szereg prac, z czego zwraca uwagę doskonała kolorystycznie „Wiosna” i ciekawy portret pułkownika W.; prof. Walczowski w bieżącym roku wystawił mniej niż zazwyczaj, przy czym na szczególną u-



Franciszek Walczowski: „Dwór Wandy”



Fragment z wystawy „Wytwórczość Polski” w Łodzi

ny, oraz z pierwszej sali. Obraz ten zasługuje na umieszczenie go w jakimś poważnym stałym zbiorze, dostępnym dla publiczności. A w ogóle trzeba by wyliczać kolejno wszystkich artystów i niemal wszystkie dzieła: doskonale, spokojne pejzaże Radwańskiego, grafiki Lucjana Lejmana, pełne temperamentu obrazy Sprusiaka (syna), wśród których na szczególną uwagę zasługuje „Morze”, biżuterię Elżbiety Danielewicz itd.

Pod adresem p. Goedel-Jezierskiej warto nadmienić, że acz nadal jest nierówna, to jednak jej „Martwa natura” wybija się nie tylko spośród jej własnego dorobku, ale z całej wystawy. I zwraca uwagę „Pralat papieski” Zielińskiego Chwalisława. Jest to obraz kolorystycznie bardzo ryzykowny, a mimo to bynajmniej nie rażący. Oczy przykuwa fiolet płaszcza, po czym wzrok przechodzi na głowę i... przy niej pozostaje.



Zygmunt Burdziński: „Złocienie”

wagę zasługuje mała akwarela „Od-wiedziny” i ciekawy kompozycyjnie „Dwór Wandy”. Ale ozdoba wystawy jest bezsprzecznie „Morze” Mieczysława Siemińskiego. Jest to obraz wykonany trudną „laną techniką” i z różnych odległości daje rozmaite, a za każdym razem wspaniałe efekty. Radzimy zwiedzającym obejrzenie go ze środka tej sali, w której jest zawieszo-



Wanda Goedel Jezierska: „Martwa natura”



Emil Ukleja: „Na przeszkodzie”

ponurej, mileżącej kolorystycznie, ale jakże wymownej formalnie.

Tegoroczna wystawa zadokumentowała kolosalny postęp techniczny u ogółu łódzkich plastyków. Mamy nadzieję, że teraz przyjdzie kolej na zdobycze ideowe i tematyczne, na wyrwanie się z zakłętą koła szablonu, które nakazuje szukać piękna przede wszystkim w pejzażu i „ładnym” portrecie.

KAZIMIERZ HAŁABURDA

Co piszą inni

Można się uśmieć...

Zbliżone do pika Sławka „Jutro Pracy” w ten sposób pisze o „sanacyjnym” tygodniku „Zaczyn”, który reprezentuje totalistyczne tendencje:

„Lektura pewnego tygodnika od deski do deski jest rzeczą zupełnie możliwą wbrew temu, co mniema jego redaktor. Czytając elaboraty różnych obiecujących cyferek — jak się okazuje przeważnie zwykłych pał i zer — można się uśmieć i cały dom rozweselić. Rzeczywiście mają one w sobie zaczął mimowolnego humoru, może nawet wbrew intencjom autorów — ale to już trudno.”

Tacy są dziś „sanatorzy” między sobą. I chcą jeszcze, żeby ich brać na serio!

Czy p. minister wie o tym?

Pod powyższym tytułem czytamy w prasie warszawskiej następującą wiadomość:

„Koło Bezdán znajduje się majątek Orwidowo, należący do p. ministra Zyndram Kościalkowskiego. Podczas pobytu p. ministra administrator majątku zaopatruje się we wszystkie artykuły spożywcze w sklepie niejakiego Prużana, naturalnie Żyda, w miasteczku Niemenczyn, regulując rachunki, dochodzące do 1.000 zł miesięcznie.”

W związku z tym „ABC” pyta, czy p. minister wie o tym, że jego administrator zapomnieli o głośnie oświadczeniu pana premiera: — „bojkot ekonomiczny i owszem”...

W polskiej szkole nie może uczyć Żyd

Wychodzące w Warszawie pismo akademickie „Wszechpolak” przynosi w ostatnim numerze artykuł, poświęcony nauczycielom-Żydom uczącym w polskiej szkole.

Autor omawia zgubne skutki wychowywania dzieci przez nauczycieli-Żydów, po czym pisze:

„Któż może ludzić się, że Żyd nauczyciel historii będzie w polskiej szkole chętnie wykladał o Chrobrym, o Jagiellonach, o Batorym, o Dmowskim, o wielkich chwilach Wielkiej Polski — kiedy dla niego, dla jego narodu, okresy wielkości i potęgi Polski były okresami klęski, a tryumfy zaczynały się wtedy, gdy Polska była niszczone, nękana i słaba.

„A jak może uczniowi polskiej szkoły zaszczyć umiłowanie ojczystego języka nauczyciel, który sam nie tylko ducha tego języka nie rozumie, ale świadomie nieraz i umyślnie stara się go zszpecić, zaśmiecić, współdziała w jego kaleczeniu i dewastowaniu.”

Jak można dopuścić, by nauczyciel-Żyd był autorytetem dla młodego, kształtującego dopiero swój pogląd na świat Polaka, czy Polki? Jak może iść w życie chłopiec czy dziewczyna, których wychowaniem kierował Żyd!

Równocześnie pismo to zamieszcza wykaz imienny 40 przeszło Żydów uczących w warszawskich państwowych szkołach średnich.

Rzeźba jest reprezentowana bardzo skromnie — zaledwie dwa eksponaty, oba dłuta Zygmunta Kowalewskiego. „Motocyklista” uderza swą siłą ekspresji i harmonią kompozycji.

Trudno wszystko wyliczać i starać się omówić w kilku słowach. Jednak niemniej trudno powstrzymać się od



Wacław Dobrowolski: „Portret pułkownika W.”

jednej, zasadniczej uwagi natury ogólnej. Oto nadal łódzcy plastycy uciekają od Łodzi! Łódź im widocznie nic nie mówi. Na 77 eksponatów zaledwie jeden temat z Łodzi! Reszta to w przynajmniej części sielskie pejzaże. Czyżby Łódź była dla nich pustynią, wygnaniem, na którym zmuszeni są bytować, ale z którego uciekają poszukując tematów? Naprzykład Ukleja, taki doskonały grafik, nie dał nic z tej techniki, natomiast wystawił cztery ciekawe oleje..., których poszukując uciekł z Łodzi. A przecie właśnie Łódź jest bodaj najwładźniejszą polem dla surowej techniki graficznej, bardzo

sznie hałasuje, że ledwie słyszmy, co mówi do nas najnowszy znajomy, jezuita o. Hubbard. Hubbard jest uczniem i poddźwiniem. Pytam się, czy dawno bawi na wyspie?

— Od paru dni! Przyjechałem z Nome na Alasce na pokładzie kutra granicznego Northland. To jest chyba ostatni statek, jaki tu w tym roku przyjdzie — jakto ostatni!

Jesteśmy na wyspie King Island w Cieśninie Berynga. Fale rozbijają się z grzmieciem nad kłem o obryzanie czarnej skały. Sto kilometrów na prawo od Alaski, 150 kilometrów na lewo mamy Syberię.

Spacujemy powoli po szczytach kamieniacz wybrzeża. Za występem skalnym słychać szczerkanie topi. Ocean tak strasznie

KING ISLAND



Leonard Turkowski

„Masz rybę? pokaz kieszonki!”
I pyta smutkiem wzroku:
spogląda w twarz twoją cienie
Nareszcie, zaszczekawsz,
w dudniące, ludne miasto.
patrzy swym bystrym wzrokiem
ludzie skóra swą płamistą,
Poduzna, pletwonoga,
Poka:
i jak smakują trawy?”
„Jaki reżym pachnie las?”
i czytasz w zębeny i zawa:
Wpatrujesz się w jego oczy
jakies nieznanne widoki.
znajduje w dali nieba
pręgiawszy jed duży bokiem —
Wspartysz się rogiem o statek,
felen:
Zoologicznym).

Maria Kuc.

z czułością spojrzęła na swego
To mówiąc mama Gryzoniowa
gnowane ręce.
kóry ma piękne, białe, wypięte,
szy charakter od człowieka,
gdz nierządki postada on lep-
kimi rękoma, nie gardzicie nim,
wika ze spracowanymi, szorst-
ki. Tak samo, gdy użycie czo-
terka decyduje o wartości mysz-
lube dlateczki, że nie kolor tu-
Zapamiętajcie sobie jednak
mego życia i pochodzenia.
sny dom. Oto i cała historia
sese. Zatożyliśmy nowy, wia-
Wkrótce odbyło się nasze we-
broc bardzo pokochałam.
go tatusia, którego za jego do-
jęcia. Tam też poznałam wasze-
cia. Doznałam najlepszego przy-
brany myszkom swe przeży-
Spikana opowiadałam ze-



MOJ PRZYJACIEL
odpowiada NA LISTY

Hallo! Ludomira Żakówna w Poznaniu: Dziękuję Ci bardzo za list i za lamigłówkę. Z radością też dowiaduję się, że pragniesz częściej do mnie pisywać. Więc oczekuję przede wszystkim zapowiedzianego opisu bliższych szczegółów. Nadesłana lamigłówka ładna, ale zbyt ułatwiona; zużyje ją w ciągu października, ale we formie utrudnionej. Ściskam Cię i pozdrawiam. — **Władzio Zhorowski** w Mirosławkach: Szkoda, że będąc w Poznaniu, nie odwiedziłeś mnie; byli byśmy się poznali osobiście i tym bardziej zaprzyjaźnili. Wobec tego musisz mi coś więcej o sobie napisać. Brakujący odcinek „Żelaznego Szlaku” otrzymasz. Czołem! — **Zyta Grymaszewska** w Poznaniu: A więc przez cały rok nosiłaś się z chęcią napisana do mnie listu, no i nareszcie zdobyłaś się na tę odwagę. Słownie. Przyjemnością dowiedziałem się, że „Mój Przyjaciel” tak bardzo Ci się podoba, i że składasz sobie wszystkie numery, by mieć następnie piękne rocznik! Czy tak mniej więcej wszyscy moi przyjaciele. Domyślam się, że jesteś zapaloną filatelistką; czy dużo już masz znaczków? Ciekaw też jestem Twoich opowiadań i lamigłówek. Pozdrawiam serdecznie. — **Mirosława Andrzejewska** w Poznaniu: Zanim zdążyłem Ci odpowiedzieć, już się doczekałaś ciągu dalszego i dokończenia. W nagrodę jednak napisz mi teraz drugi list: o sobie oraz co najwięcej podoba Ci się w „M. Przyjacielu”. Dużo serdeczności. — **Zyta Bocianówna** w Poznaniu: Bardzo, bardzo serdecznie dziękuję Ci za te tak wzruszające życzenia i okazaną radość z mego wyzdrowienia. Logogryf nie zakinał, jest dobry i zawsze na czasie; dam go w ciągu października. Ściskam Cię i pozdrawiam. — **Miecia Baierówna** w Otuszu: Zdziwił się zapewne, przeczytawszy po tylu miesiącach odpowiedź na swój list. Ale widzisz, trzymam się tej zasady, że odpowiadam na każdy list. A ponieważ w czasie mej choroby nadeszło listów mnóstwo, to też choć z wielkim opóźnieniem odpowiadam po kolei na wszystkie. I powiem Ci od razu, że list Twój przeczytałem z wielką przyjemnością. Napisany bardzo ładnie i zajmująco. Dowiedziałem się o Tobie i Twoim rodzeństwie, że pracujesz w Stowarzyszeniu Św. Dzieciństwa P. Jezusa, że zimą pamiętasz o karmieniu ptaszków itd. To też gdy już tak dobrze Ciebie poznałem, z ochotą przyjmuję Cię do Koła moich przyjaciół, i to w tym przeświadczeniu, że pozostaniemy wierni sobie na zawsze. Ściskam Cię serdecznie, a zarazem Basię i Januszkę „cyganiatko”, a mamusi i dawnej przyjaciółce radiowej, p. Ulce pięknie się kłaniam. Oczekuję dalszych listów. — **Ania Maćkowiakówna** i **Basia Tobolanke** w Książu: Słownie, że nareszcie zdobyłyście się na odwagę i napisałyście list. Za miłe słowa uznania i przyjaźni serdecznie dziękuję, i oczywiście natychmiast przyjmuję Was obie do Koła moich przyjaciół. Mam nadzieję, że teraz już częściej będziecie do mnie pisywały. Ale targać mej brody nie można, bo obskubały byście mi ją do cna, a potem na taką oskubaną bródkę nawet i spojrzeć by nie nie warto. Dziękuję też za lamigłóWKę, zamieszczę obie. Ściskam Was serdecznie. — **Lila Rechniowska** w Piotrkowie Trybunalskim: List Twój teraz dopiero zdążyłem przeczytać, i ucieszyłem się ogromnie Twoją radością z niespodzianki noworocznej. Ale wśród sterty późniejszych listów moich przyjaciół nie znajduję zapowiedzianej fotografii kochanej Liluchny. Czemu? Czekam więc na fotografię i duży, duży list. A tym czasem pozdrawiam i ściskam,

patacz i nim kot zdążył rzucić państwa Gryzoniów.



widok cenię się napowrót do norki. Usłyszałam:
— Arytokratka z pałacu przysłała!
— Czego panienka sobie życzy?
Jakaż się, wyjaśniłam o co dowoilem swym różowym no-
skiem mówiąc:
— Jacyż oni tam krewni! To są zwykłe szare polne myszy. Zapominasz, droga Mickey, że pochodzisz z arystokratycznego rodu Białoszyńskich, który nie pospilił się z szarym hullaf-
stwem. To są złodzieje i darmo-
zjadcy.
Wszyscy jednomyslnie przy-
wzoryli ciocie. Byłam odosob-
niona, ale nie przekonaną.
Skoro całe towarzystwo roz-
dawilo się, skorzystałam z za-
mieszkania Szarusiów.
Przed ich norczą stanęłam tro-
chę bezradna. Nigdy u tych u-
bogich krewnych nie byłam.
Przemogłam jednak uczucie le-
ku i zastukałam. Wyjrzała
szara myszka, która na moją

— Trzeba był ostrożec, prze-
szłam. Odezwał się:
— Muszę mieć serce, gdy to usly-
wyruc podług Szarusiów. Zali
siewach. Pan Lipski postanowił
dzili mu znaczne szkody w za-
cych w polu. Szarusowie wyrzą-
ków — Szarusiów, mieszkają-
na naszym ubogich krewnia-
jenna minęła. Szarusiowie po-
stanowili też jeszcze godziny
przeprowadzić się do swych
znajomych, do podziwy Gryzo-
niów.
Pobiegłam do domu. Tutaj ku
memu przerażeniu nie znała-
żnam nikogo. Nagle, gdy nie-
spokojna biegłam po pałacu,
za szklaną jego ścianą usłyszałam
zaczajonego wielkiego, burego
kota. W jednej chwili zrzu-
niałam całą tragedię mojej ro-
dziny. Co rychlej wybiegłam z

MOJ PRZYJACIEL
BEZPŁATNY TYGODNIOWY DODATEK
ORĘDOWNIKA DLA DZIECI
PÓD REDAKCJA WUJKA CZESIA
Rok II Nr 37

KRÓL BAŚNI
(Zamiast gawędy)

W kraju północnym, Dania zwanym, tam, gdzie dwa wielkie morza się łączą — Bałtyckie i Północne — jest maleńka wysepka, cała zielona od lasów bukowych i łąk. Na tej wyspce znajduje się miasteczko Odense. W miasteczku tym stał się raz dziw nad dziwy. Było to już bardzo, bardzo dawno, kiedy jeszcze ani Was, ani Waszych ojców, ani dziadków Waszych nie było na świecie.

W najuboższej części tego miasteczka stała wtedy maleńka, pochyla i bardzo mizernie wyglądająca chata. A w tej chateczce jedna tylko była izdebka. Ogromnie biedna to była izdebka, — w jednym kącie stał piecyk na ceglach, w drugim kącie z desek surowych sklecone łóżko, na środku z takichże desek stół i dwie ławy, pod oknem stolek i warsztat szewski, a nad warsztatem na sznurkach deszczka z kilkoma postrzępionymi książkami.

W tej oto izdebce mieszkał chudzina szewczyzna, który był bardzo biedny i często głodny udawał się na spoczynek. Ale miał on duszę bardzo bogatą, serce pełne ciepła miłości, a głowę pełną urojonych obrazów. Zbyt wiele roboty nie miał, to też żona jego musiała dorabiać na utrzymanie, jako praczka poza domem. On zato najczęściej opuszczał ubogą izdebkę, i gdy nie miał roboty, wtedy czytał.



— Ale to nie pomogło, chłopczyk słuchaj, co ci czytamy! —
 — szczerz jak kocia? Mówię ci —
 — Janku czemu tak wrzeszczysz jak kocia? Mówię ci —
 — i powiedział:
 — dy zniecierpliwili się szewczyzna
 — wszystko na nie się zdało. Wte-
 — smo święte mu czytał. Lecz
 — wiersze wielkich poetów i Pi-
 — ca i jednej nocy, deklamował
 — łóżku, czytał mu bajki z tysią-
 — się zdało. Wtedy ułożył go na
 — nspakaj, lecz wszystko na nie
 — ce i tułi chłopaczka, kołysał i
 — czyna biegła radośnie po izdeb-
 — bardzo. Uszczęśliwiony szew-
 — bardzo zapakany i krzyżujący
 — bieskooki. Przyszła na świat
 — paczek śliczny, jasnowłosy i nie-
 — pewnej nocy kwiatowej chło-
 — W tej to izdebce urodził się
 — szewczyzna niezwykły.
 — izdebce chudziła szewczyzna,
 — śno marzył w swej ubogiej
 — również zostać bohaterem. Gło-
 — kim Napoleonie, i o tym, jakby
 — terskim królu Francuzów, wiel-
 — dy Dobra Wróżka znikła, roz-
 — gnał ku złotej koronie. Ale wte-
 — śmiechnął się i zaczęła wycią-
 — rozumiejąc, przestał płakać, u-
 — I chłopczyk, jakby słowa te
 — królem baśni...
 — W złud królestwie —
 — w świecie...
 — Najszlachetniejszym będziesz
 — Masz koronę w złotej jasni,
 — Dar królewski tobie niosę:
 — złotą koronę i rzekła:
 — chłopczyku wyciągnęła dłoń z
 — na Dobra Wróżka. Nad głowę
 — a przy łóżku stanęła przelich-
 — niespodzianie wielka światłość
 — oświetlonej izdebce, zajaśniała
 — nego. W mrocznej, świeczką
 — Az nagle stało się coś dziw-
 — gu bez przerwy.
 — płakał i krzyzał w dalszym cią-
 —



(Ciąg dalszy nastąpi)
 Dobrej Wróżki.
 by zrozumiało przepowiednię
 rzyckę dziecka, które jak gdy-
 zato rozkosznie rozesiłanę twa-
 ka, ale jej nie znalazł. Ujrzał
 rony jej szukać na skromi dzie-
 był, czy jawa. Przeto złotej ko-
 czyna, nie wiedział, czy sen to
 ze zdziwienia chudziła szew-
 zalegał ubogą izdebkę. Oniemiał

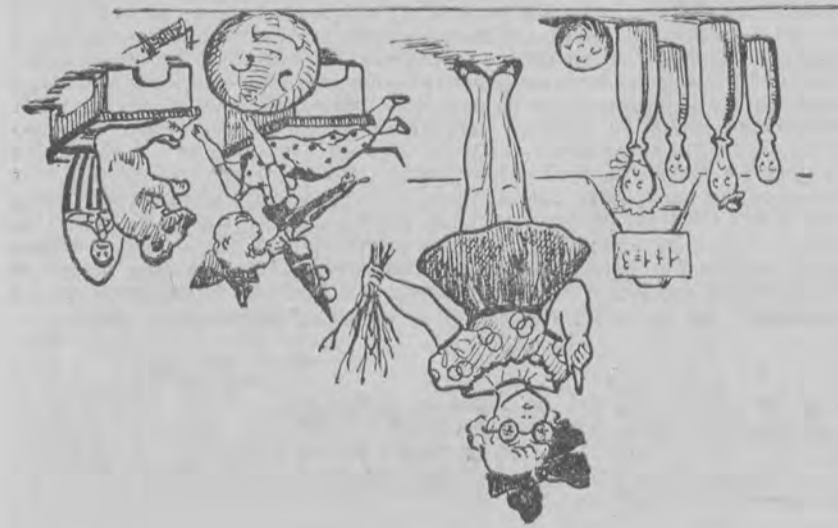


Do swych lalek rzekła Hania:
 — „Dostyc tego przemoniał
 — Adas poszedł już do szkoły
 — taki chętny i wesóły.
 — Zosia z mamą pisze, liczy,
 — Staś na skrzyppach pięknie ćwiczy.
 — tylko wy, me piękne panie,
 — przynajmniej niesłychanie.
 — A więc proszę... (groźna mina,
 — na nos babcę okulary) —
 — już się lekcyja rozpoczyna.
 — mogą usiąść wszystkie panie!
 — (Haj, pedagog z niej nieładaj!) —
 — Kto tam w ławce podpowiada?
 — Lili pisze dziś niedbale,
 — Miś nie umie lekcyi wcale!
 — Bimbo w kącie nie uczyta,
 — Kręgle mają senne „twarze“...
 — Oh, w robocie różna będzie!
 — tenet rozumu wam przybędzie!”
 — Lecz choć wciąż tak karci, gani
 — jakos nikt nie słucha Hani.
 — A wtem na to wychodzi mama.
 — „Swoje dzieci uczyć sama,
 — lecz choć krzyżę od godziny,
 — ciągle mają głupie myśli...“
 — Tak się mamie skarży Hania.

Z. Laubert-Kulakowska

MAMA NAUCZYCIELKA

— „Ej, córeczko, dość lajania,
 — lalki nie chcą ci dokuczyć,
 — lecz kto innych chce nauczyć —
 — tak odpowiedź brzmi mamusi! —
 — najpietnie sam coś umieć musi!...“
 — By pion daly twe mozolki,
 — sama musisz pójść do szkoły.”



le królestwie MYSZEK

Micky Gryzoniowa krząta się po swym maleńkim mieszkańku w polnej norce, troszcząc się o potrzeby swoich dzieci i męża. A nie lada to zadanie obiegać sześć mysich osób! To też pani Gryzoniowa z uczuciem ulgi stwierdza, że wszystko jest w najlepszym porządku i że za chwilę będzie mogła wyczołgać przy stole w gronie swych najbliższych.

Mamusia sprząta resztki po-
 siłku, poczem siada na tapczanie, uplecionym z trawy i przy-
 garnia do siebie pięć maleńkich,
 szarych istotek.

— Urodziłam się w ślicznym
 szklanym pałacyku — zaczyna
 mówić — w domu państwa Lip-
 skich. Rodzicami mymi były
 białe myszki. Nasze nazwisko



rodowe brzmiało Białoszyńscy.
 Prócz mnie, nikt dziś już z ro-
 du Białoszyńskich nie żyje. (To
 mówiąc, myszka otarła łapką
 łezkę, która potoczyła się w kie-
 runku różowego noska.) Naszym
 pałacem opiekował się Jędrus
 Lipski. W pobliżu, w drugim
 pałacu, mieszkał ród Bieliń-
 skich, pozostający pod opieką
 Hanezki Lipskiej. Nasi młodzi
 opiekunowie byli dla nas bardzo

Cieniutkim piskiem zwołuje
 gromadkę. Drobiazg ciśnie się
 w zamieszaniu pragnąc jak naj-
 prędzej skosztować mamusi-
 nych przysmaczków. Tatusz idzie
 statecznie na końcu i nie oka-
 zuje zbyt wielkiego pośpiechu. Zwo-
 lna rozgardiasz ustaje, a bly-
 szące czarne perełki oczek
 oraz chrupanie ostrych ząbków
 świadczą o tym, że ziarenka są
 przewyborne. Pierwszy głód za-
 spokojony. Jęczyczki rozwiązują
 się, papląc bez końca o drob-
 nych wydarzeniach dnia. Naj-
 nieoczekiwanej maleńki Pipi
 wyrwa się z zapytaniem:
 — Dlaczego mamusia jest ta-
 ka piękna, biała, podczas gdy
 my jesteśmy szarymi mysz-
 kami?
 — Jeśliś ciekawy, opowiem ci
 synusiu, ale to dość długa hi-
 storia.
 — Opowiedz, mamusiu, opo-
 wiedzi!

naczelnika tutejszego eskimo-
 skiego szczepu Innuit. To bę-
 dzie małe urozmaicenie i przy-
 jemność dla słuchaczy rozumie-
 jących po mongolsku, bo naczel-
 nik mówi tylko w tym języku.

— No tak, ale być zupełnie
 odcięty od świata przez ośm
 miesięcy!

— O, — powiada ojciec Hub-
 bard, — w grudniu pójdę z jed-
 nym asystentem do Nome!

— Jakto, pójdzie ojciec do
 Nome?

— No, po lodzie.

— Mimo huraganów śnież-
 nych?

— Tak. Zabierzemy dwa psy
 i łódź ze skór na wypadek, gdy-
 by się okazało, że wśród lodu
 są miejsca niezamrznięte.

— Ale czy to warto tak nara-
 żać życie?

— Tak, Bo dla nauki ten
 marsz będzie miał ogromne zna-
 czenie.

— Jakie?

— Jeśli się uda, to tym sa-
 mym byłoby rzeczą udowodnio-
 ną, że jest możliwość, iż pierwsi
 mieszkańcy Alaski przyszli
 przed tysiącami lat pieszo po lo-
 dzie do Syberii.

W czasie, gdy tak rozmawiam,
 Ocean się trochę uspokoił. Kil-
 ku Eskimosów spycha do wody
 łódź. Pytamy się, co będą ro-
 bili z oszczepami, bo na dnie
 lodzi leżą oszczepy. Odpowia-
 dają, że nie rozumieją jak można
 stawiać takie głupie pytania.
 No, bo tutaj ryby łapie się w
 ten sposób, że ciska się w nie
 oszczepem.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Kazimierz Pluciński.

— No bo za jakiś tydzień cie-
 śnina Berynska zmarznie i lód
 będzie się trzymał aż do maja.

— A co tu Ojciec przez całą
 zimę będzie robił?

— No, będzie pracował nauko-
 wo. Głównie chce zbadać dwie
 sprawy: przyrzedzić się, jak tu-
 tejszych 200 Eskimosów spędza
 zimę, i nauczyć się od nich le-
 czenia tłuszczem foczym — bo
 oni tym tłuszczem dokonują
 prawdziwych cudów — nawet
 krwotok potrafią zatrzymać.



A dalej chce zbadać, dlaczego
 wulkany w Ameryce Północnej
 wybuchają z taką regularno-
 ścią? Czy to może ma coś wspól-
 nego z prądami morskimi, że
 mianowicie gorące prądy z Mo-
 rza Japońskiego wpadają w lo-
 dową wodę Cieśniny Beryn-
 ga? I huragany zimowe chce
 badać. Tutaj się rodzą i potem
 stąd idą na całą Amerykę Pół-
 nocną. Dlaczego one powstają.
 Jak to wygląda na początku?

— Więc przez całą zimę bę-
 dzie Ojciec odcięty od Ameryki?

— A nie, przecież zabrał ra-
 diową stację nadawczą. Będzie
 nadawał, głównie sprawozdania
 o pogodzie, a od czasu do czasu
 do czasu zaprosi do mikrofonu

SERCE I NADZIEJA

nowela sensacyjna

NAPISAŁ WITOLD ZASWIEC — Część II.

Niezbyt przyjazne pożegnanie

Przy kieliszkach z dobrym trunkiem niepostrzeżenie mijał czas. Wood spoznał na zegarek. Za pół godziny łódź motorowa powinna dobiec do brzegu.

— Wilson i John jeszcze nie wrócili? — zaniepokoił się.

— Będą tu napewno za chwilę! Jakby na potwierdzenie tego zdania drzwi gospody otwarły się w tej chwili i wszedł Wilson.

— Wszystko w porządku, pułkownik — zameldował — Sir John ze swoim autem pojechał o kilometr dalej. Mówił, że urządzi z niego bolszewikom fajerwerk.

— Zupełnie niepotrzebnie! Ściągnie sobie jeszcze jaką biedę na głowę — zżymał się Wood.

— Będzie tu za dziesięć minut! — pocieszał Wilson.

— Idę obudzić panie! Muszą przygotować się do drogi.

Po kwadransie całe towarzystwo było już zebrane w sali gospody, gotowe do wyjazdu. John jeszcze nie wrócił.

Nagle z daleka dobiegły ich uszu jakieś strzały.

— Do licha! — mruknął Wood. — John wplątał się w jakąś awanturę.

Rozejrzał się po swoich ludziach, którzy patrzyli na niego z oczekiwaniami.

— Kapitanie! Pan, Wilson i Brent weźmiecie panie i udacie się natychmiast na wybrzeże. Łódź powinna być tu łaďa chwila. Gospodarz was poprowadzi. Reszta panów pójdzie ze mną odszukać sir Johna.

— Czy grozi panom jakie niebezpieczeństwo? — zapytała podenerwowanym głosem księżna.

— Ależ najmniejsze, księżno! Za dziesięć minut przyłączymy się do pań.

Wyznaczeni do eskorty pań ludzie schwycili walizki i prowadzeni przez gospodarza ruszyli w stronę wybrzeża. Świtało już na dobre, więc mogli iść szybko, nie obawiając się żadnych niespodziewanych przeszkód. Po pięciu minutach szybkiego marszu stanęli na wybrzeżu. Kapitan odparował właściciela gospody wynagradzając go hojnie za pomoc. Złożywszy bagaż na piasku wybrzeża czekali. Jeden z Anglików wyjął lornetkę i badał wzrokiem horyzont.

— Łódź widać! — zameldował.

Po kilku minutach gołym okiem dojrzeli zbliżającą się ku nim szybko dużą łódź motorową. Poczuli dawać jej znaki. W tej chwili od strony wsi dobiegły ich odgłosy licznych strzałów. Czekali w napięciu.

— Boże, co tam się dzieje! — myślała w przerażeniu Tania.

Nawet kapitan był lekko zdenerwowany. Spoglądał w stronę zbliżającej się szybko łodzi, to znów w stronę wsi, w której bez przerwy trwała jakaś strzelanina.

Powodem jej była niepotrzebna brawura młodego Anglika, sir Johna. Chcąc efektywnie wypełnić rozkaz zniszczenia bolszewickiego auta oblał je resztkami benzyny i podpalił. Pożar zwabił patrolujący widać w pobliżu oddział czerwonoarmiejców. Powodowany kawalerską fantazją sir John dał do nich kilka strzałów, w wyniku których patrol wyruszył za nim w pościg. Depcząc mu po piętach dotarli za nim aż do rybackiej wioski.

Szczęściem Wood z czterema ludźmi pośpieszył mu na odsiecz. Wywiązała się formalna bitwa. Bolszewicy, uzbrojeni w karabiny, atakowali. Anglicy ostrzeliwali się z rewolwerów starając się utrzymać wroga w przyzwyczajonej odległości, dopóki łódź motorowa nie dobieje do brzegu. Cofali się powoli ku wybrzeżu.

Ostrzeliwując się z za węgla jakiegoś budynku Wood obrzucił spojrzeniem wybrzeże. Dojrzał łódź motoro-

wą, stojącą w odległości kilkudziesięciu kroków od brzegu i gromadkę swych towarzyszy, skupionych około pań.

— Siadać do łodzi! — krzyknął w ich stronę składając ręce w tubę.

Kapitan dosłyszał widać rozkaz, bo niewiele myśląc schwycił na ręce Tanię i brnąc po wodzie niósł ją w stronę łodzi. Marynarze z łodzi pośpieszyli z pomocą i za chwilę obie panie wraz z bagażami znalazły się w łodzi.

— Wszyscy do łodzi! — krzyknął Wood donośnie do swych towarzyszy.

Za węglów oderwały się postaci strzelających i pobiegły szybko do brzegu. Na końcu cofał się Wood i sir John.

Gromadka towarzyszy Wooda miała widać niezłe wojskowe przygotowanie, bez rozkazów bowiem zachowywali się według wszelkich zasad taktyki. Gdy jedni się cofali, inni strzelali pokrywali ich odwrót, tak, że bolszewicy nie mogli wychylić głów zza budynków. Kapitan z dwoma ludźmi strzelał również z łodzi, a trzech marynarze wyciągnęli najspokojniej karabiny i przyłączyli się do bitwy.

— Zapuszczać motor! — krzyczał Wood do marynarzy.

Dwu ostatnich uczestników bitwy wciągnięto do łodzi; motor zawarczał i łódź ruszyła kierując się na pełne morze.

Bolszewicy wyskakowali z ukrycia i biegli ku wybrzeżu strzelając gęsto. Kule pluły w wodę, bzykały nad głowami i uderzały miękko w burty łodzi.

— Położyć się wszyscy! — komenderował Wood.

Łódź pruća dzielnie morskie fale. Po dwóch godzinach drogi stanęli wszyscy na pokładzie statku „Sztokholm 1”. W dziesięć minut później statek podniósł kotwicę.

— Zegnaj, Rosjo! — odezwał się księżna Balykina z lekkim patosem.

— Możemy powiedzieć, że rozstaliśmy się w niezbyt przyjazny sposób.

— I możemy powiedzieć, że panu zawdzięczamy życie — dodała Tania patrząc z wdzięcznością na Wooda. — Boże, co działałoby się z nami, gdyby nie pan!

— Przesadza pani moje zasługi, księżniczko! — protestował skromnie Wood.

— Szkoda jednak twoich klejnotów, Taniu — wtrąciła znów księżna. — Całe szczęście, że moje ocalały. Były

jednak lepiej ukryte od twoich. No, nie martwmy się! — dodała szybko. — Dość, że uszliśmy z życiem, a z tym, co mamy, jakoś sobie damy radę.

— Klejnoty księżniczki Tani nie zginęły — odezwał się z flegmą Wood.

— Jaktó! — wykrzyknęły obie panie. — Przecież ukradł je Gremine.

— Ukradł tylko kasetkę i... fałszywą biżuterię! Trochę czeskiego szkła. Prawdziwe klejnoty mam w kieszeniach...

Patrzyły na niego zdumione i pełne podziwu.

— Tak jest! Mam w kieszeniach i radbym się co prędzej pozbyć tego ciężaru — dodał z humorem.

— Jak się to stało? — dowiadywała się księżna. — Skąd się wzięły fałszywe klejnoty? Kto je zamienił?

— Ja! — wyjaśnił z uśmiechem. — Po prostu urządziłem włamanie do mieszkania pań, ściągnąłem prawdziwe klejnoty, a na ich miejsce włożyłem podrobione. Mam jubilera, który nawet królewską koronę potrafi podrobić tak, że sam mistrz dworu na tym się nie pozna. Nic dziwnego, że nie poznał się Gremine ani panie!

— Ja poznałam — wtrąciła cicho Tania. — Klejnoty podrobione były rzeczywiście po mistrzowsku, ale... w kasetce brakowało kilku drobiazgów, na które nie zwrócił pan uwagi. Domyśliłam się, że ktoś ją wypróżnił!

— Jestem pobity, księżniczko! — roześmiał się Wood. — Ano — dodał — nie na wszystkich polach można zwyciężać. Z panią jakoś nie mam szczęścia.

Spojrzeli na siebie. Patrzyli sobie w oczy długo i głęboko. Księżna wyczuwając widać, że komuś tu przeszkadza, pod pretekstem zmęczenia odeszła do swej kajuty.

— Nie zawsze pan ze mną przegrywa, sir Herbercie — po długim milczeniu powoli powiedziała Tania. — Jestem ciągle pańska dłużniczka.

— Nie, księżniczko! Wszystko, co robiłem dla pani — robiłem dla siebie. Chciałem panią wywieźć z Rosji, chciałem dla pani narażać się na niebezpieczeństwa, aby dowieść pani, że ja kocham. Jeśli te wszystkie przygody, jakie ostatnio przeżyliśmy, były grą — to dla mnie stawką w niej była pani. W tej chwili chcę zagrać w niej *va banque!* Zapytam: Taniu, czy chcesz zostać moją żoną?

Podala mu rękę bez słowa. Podniósł ją do ust.

Tania rozejrzała się po pokładzie — Chodźmy szybko do salonu! — powiedziała wesoło. — Tam w tej chwili nie ma nikogo. A chcę, bardzo chcę cię pocałować, Herbercie!

Tęsknota do ojczyzny

W ciągu długich dni Natasza chodziła jak w gorączce. Przez mgłę ledwie zdawała sobie sprawę z otaczającej ją rzeczywistości, pół świadomie brała udział w toczących się wypadkach. Myśli jej i serce było gdzie indziej.

Wiadomość o żołnierskiej śmierci Rybkowa, która spadła na nią jak grom w dniu wyjazdu Tani Balykinej z Piotrogradu w formie depeszy od Piotra, przyprowadziła ją o ten stan nieprzytomności.

Otrząsnął ją z tego stanu odrętwienia dopiero powrót do Piotrogradu Piotra. Wrócił on również niespodzianie jak zniknął. Zapukał do okna mieszkania pewnej nocy. Wślizgnął się do pokoju, wpuszczony przez matkę.

Natasza, która nie mogła spać pod wpływem swego stanu zdenerwowania, usłyszała prowadzoną w kuchni szeptem rozmowę, wstała szybko z łóżka, narzuciła na siebie szlafroczek i wyszła przywitać Piotra. Smutne to było powitanie. Stali naprzeciwko siebie w półświatle zaglądnącego przez okna księżycy i patrzyli w milczeniu.

Ale... Natasza odmówiła. Lagodnie, lecz stanowczo. Wysłuchawszy motywacji tego postanowienia musieli, acz z bólem serca, przyznać jej rację.

Natasza postanowiła wyjechać z Piotrogradu, ale — do Polski.

— Od czasu, gdy dowiedziałam się, że właściwie jestem Polką, zbudziła się w mym sercu tęsknota za ojczyzną mego ojca. W Rosji nic mnie już nie trzyma, prócz przywiązania do was. Skoro jednak wy wyjeździecie — mówila — pójdę i ja w swoją stronę, do Polski.

— Wiedziałem, Nataszo — smutnie powiedział jej Piotr, gdy zostali kiedyś sami w mieszkaniu — wiedziałem, że ty nie dla mnie, że serce twoje nigdy do mnie należeć nie będzie. Ano, trudno, taka już moja dola, że pakuję swoje uczucie w przegrane sprawy. Tak z tobą, tak i z matuzką Rosją, która nic sobie z mojej miłości nie robi i poddaje się bolszewikom! — zakończył z wisielczym humorem.

— Zawsze cię kochałam, i kocham, i kochać będę, Piotrze! — zaprotestowała Natasza. — Ale kocham cię jak brata. Zresztą, pociesz się — ja już chyba nigdy w życiu nikogo nie pokocham inną miłością. Inaczej kochać można tylko raz w życiu. I ja już tak kochałam!

Wobec choroby Bukowa uzyskanie pozwolenia na wyjazd z Piotrogradu do syberyjskich gubernij nastężyło trudności mniejsze, niż przypuszczali. Gdy wszystkie potrzebne do wyjazdu papiery zostały już uzyskane, Piotr, postanowił wyjechać. Zniknął w nocnych godzinach, gdzieś chodził, z kimś się spotykał, wreszcie wynalazł jakiś sposób nielegalnego — bo legalnie nie mógłby przyznać się nawet do swego istnienia — wyjazdu z Piotrogradu.

Z rodzicami miał się spotkać za kilka tygodni w Utowie, rodzinnym miasteczku Iwana Piotrowicza. Bukowowie zamierzali osiedlić się w domku, który Bukow posiadał tam w spadku po swych rodzicach. Ogród i kawałek ziemi, do domku przylegające, oraz te oszczędności, jakie zdobyli w ciągu pracowitego życia, pozwolą im tam może w spokoju dokończyć swoich dni.

— Jakoś to będzie! — pocieszał siebie i rodzinę Bukow. — Inni wytrzymają, to i my jakoś wytrzymamy. Najgorsza moja troska, to wy, młodzi. Co z wami będzie?

Młodzi pocieszali ich jak mogli.

— Nie martwcie się, ojczel! W syberyjskiej armii bezpieczniej, niż w tej, w której byłem dotychczas. Jak nas bolszewiki w puch rozbiją, to będziemy wiali do Japonii i do Ameryki — mówił Piotr z humorem.

Przygotowywali się więc wszyscy do wyjazdu, każdy w inną stronę.

Pierwszy wyruszył Piotr.

— Zegnaj, Nataszo! — powiedział jej na pożegnanie. — Nie zobaczymy się już może w tym życiu. Ale jeśli wspomnisz o mnie kiedykolwiek, to wiedz, że nikt już chyba nigdy tak kochać cię nie będzie jak ja cię kochałem.

— Pocałuj mnie na pożegnanie, Piotrze! — poprosiła Natasza.

Spoważniał nagle i zesmutniał. Pochylił się nad nią powoli. Podala mu usta. Dotknął ich lekko ustami, w poważnym, modlitewnym niemal jakimś skupieniu. Potem porwał się nagle, odwrócił szybko i bez słowa poszedł ku drzwiom. Zawarty się za nim ciężko. Zniknął w ciemności nocy.

Takie jest życie! Rozstawała się ze starymi przyjaciółmi idąc z ufnością do nowych wierząc, że nie zawiodą jej rodacy ojca.

(Dokończenie nastąpi).

Komisarz policji kryminalnej — morderca

Jako lunatyk popełnił zbrodnię, którą sam musiał wyświecić

W miejscowości Alencon w Normandii zmarł w tych dniach b. komisarz francuskiej policji kryminalnej, Robert Ledru. W związku z jego zgonem prasa francuska w sensacyjnej formie rozpisuje się na temat niecodziennej tragedii tego ongiś wybitnego funkcjonariusza policji, która

dotychczas trzymana była w tajemnicy,

a dopiero obecnie na podstawie odnoszących akt urzędowych podana została do wiadomości opinii publicznej.

Robert Ledru cieszył się w swoim czasie opinią niezwykle zdolnego urzędnika policji kryminalnej i znany był z tego, że tylko bardzo rzadko zwrócił swoim przełożonym władzom jakiś akt z dopiskiem „niewyjaśniony”. To też nie darmo świat przestępców miał niebylejaki respekt przed dzielnym tym urzędnikiem.

Przed około 50 laty Robert Ledru wydelegowany został do Havru, gdzie od dłuższego czasu mnożyły się jakieś tajemnicze zbrodnie. Miejscowa policja zanotowała bowiem w przeciągu krótkiego czasu kilka wypadków morderstw wybitniejszych obywateli miasta, przy czym we wszystkich wypadkach ofiary zostały zasztyletowane

w identyczny sposób. Policja przypuszczała, iż sprawcami są zagraniczni marynarze, którzy zbiegli ze swoich statków podczas postoju w porcie.

Robert Ledru, przybywszy do Havru, zabrał się systematycznie do śledzenia tajemniczych zbrodniarzy. Zanim jednak zdolał ustalić pierwsze poszlaki, miasto poruszone zostało wiadomością o nowym morderstwie. Pewien zamożny turysta z Lyonu, niejaki Henryk Monet, wracając w porze nocnej przy świetle księżyca z plaży, został zastrzelony przez nieznanego sprawcę.

Mieszkaniec Lyonu został zastrzelony.

Była to okoliczność niezwykle znamienna, zdawała się bowiem dowodzić, że nowe to morderstwo nie posiada nic wspólnego z poprzednimi zbrodniami, w których przecież ofiary zostały zasztyletowane.

Ledru z całym zapalem zabrał się do śledztwa na miejscu czynu. Zbadał dokładnie kulę rewolwerową, zabezpieczył odciski stóp w piasku i w ogóle nie zaniedbał żadnej czynności, koniecznej dla ustalenia śladów przestępcy. W trakcie tych czynności Ledru doszedł jednak

do wniosków wręcz fantastycznych i dla niego samego druzgocących.

Stwierdził mianowicie ponad wszelką wątpliwość, że używane przez mordercę naboje zostały wystrzelone z pistoletu o specjalnym kalibrze, zrobionego na specjalne zamówienie w jednej z fabryk broni.

Urzędnik zbadał swoją broń i okazało się, że istotnie brakło w niej jednego naboju — nie ulegało zatem wątpliwości, że

jego własny pistolet był narzędziem mordu.

Nadto z odcisków stopy, odkrytych w piasku obok zwłok zamordowanego, wynikało wyraźnie, iż sprawcą, który najwidoczniej był w chwili popełnienia czynu bez obuwia w samych pończochach, brakował jeden palec u nogi. Ledru dobrze wiedział, że jego własna noga wykazuje właśnie taką wadę, stracił on bowiem palec jeszcze jako dziecko podczas nieszczęśliwego wypadku. Urzędnik kryminalny niezwłocznie powrócił do mie-

szkania i dokładnie wszystkie swoje pończochy zbadał. W jednej z nich istotnie znalazł kilka ziarenek piasku.

Rozważając dokładnie wszystkie te szczegóły, Ledru doszedł do jedynie logicznego wniosku,

iż mordercą musiał być — on sam.

Byłoby oczywiście dla Roberta Ledru rzeczą łatwą zataić wszystkie te szczegóły śledztwa i zmienić odpowiednio treść aktu. W ten sposób niesamowity ten wypadek pozostałby niewyjaśniony po wszystkie czasy. Lecz ambitny kryminalista chciał do reszty wyjaśnić tajemnicę bez względu na ewentualne skutki dla siebie

samego, które mogły okazać się fatalne. W pewnej chwili przypomniał sobie, że

matka jego była lunaticzką

i okoliczności te nasunęły mu podejrzenie, czy przypadkowo choroby tej nie odziedziczył.

Nie namyślając się długo, zebrał wszystkie akta sprawy, powrócił do Paryża i **przygotował nakaz aresztowania przeciw sobie samemu.**

Wprawdzie podkreślił on w aktach, że tylko poszlaki wskazują na niego jako na sprawcę, natomiast on sam nie może sobie niczego przypomnieć, wszelkie zatem

przesłuchiwanie musiałoby zostać bez rezultatu.

Przełożeni Roberta Ledru byli oczywiście w najwyższym stopniu zaskoczeni takim obrotem sprawy. Najwyżsi dygnitarze policji zastanawiali się nad tą niebywałą w dziejach kryminologii francuskiej historią, dochodząc do wniosku, iż

Ledru działał w przystępie pomieszaną zmysłów.

Pod jakimś pretekstem wysłano Ledru z powrotem do Havru. W ślad za nim udał się szef policji wraz z lekarzem-specjalistą chorób umysłowych. Bez wiedzy Ledru zamieniono kule w jego pistolecie na naboje ślepe.

Przypuszczenia okazały się trafne. Już następnego dnia

przy świetle księżyca Ledru rozpoczął swą wędrówkę.

Udał się prostą drogą na plażę, gdzie w pewnej chwili stanął oko w oko ze swoim własnym szefem. Bez sekundy namysłu Ledru dobył pistolet i wystrzelił...

Nazajutrz jednak niczego sobie nie mógł przypomnieć i zaprzeczył nawet, jakoby w ciągu nocy opuścił swe łóżko. — Twierdził, że spał bardzo twardo, równocześnie jednak żalił się na uporczywy ból głowy.

Po stwierdzeniu tych okoliczności

nie mogło być żadnych wątpliwości,

że Ledru był istotnie również mordercą Henryka Moneta. Stał się nim podczas wędrówki lunaticznej. Oczywiście cała ta afera została wówczas zatajona przed opinią publiczną. Roberta Ledru, który wówczas miał 35 lat, przeniesiono w stan spoczynku. Wyjechał on do Normandii, gdzie

przebywał pod stałym dozorem lekarskim.

Zdrugotany moralnie po dokonaniu strasznego odkrycia, usiłował kilkakrotnie popełnić samobójstwo, zawsze jednak udało się udaremnić te rozpaczliwe zamiary.

Przez 50 lat Robert Ledru prowadził życie samotnika, aż wreszcie śmierć przyniosła mu zbawienie.



SYMFONIA PRACY

Nocne zdjęcie budującej się tamy na rzece Columbia w Stanach Zjednoczonych

Tragiczna miłość braci-bliźniaków do cyrkówki

Zazdrość o piękną Bessie zrodziła nienawiść — Jeden z braci popadł w szal i zastrzelił Bessie i jej ukochanego

Opinia amerykańska do głębi poruszona została wstrząsającą tragedią, której bohaterami stali się znani bracia bliźniacy

Tom i Harry Sharkeyowie, młodzi i bardzo wzięci adwokaci w Denver.

Popularność swą bliźniacy zawdzięczały nie tylko zdolnościom adwokackim, ale faktowi, że obaj byli tak podobni do siebie, że

tylko najbliżsi mogli ich odróżnić.

W szkole, a potem na studiach uniwersyteckich i w sądach wynikały z tego powodu komiczne sytuacje, gdy Toma brano za Harrygo a Harrygo za Toma.

Podobieństwo stało się jednak przyczyną ich tragedii.

Przed paru miesiącami zawitał do Denver cyrk wędrowny. Jego młoda właścicielka Bessie Bolt, która była jednocześnie

gwiazdą cyrku i woltizerką,

mając jakąś skomplikowaną sprawę prawną, udała się do kancelarii adwokackiej bliźniaków.

Tommy i Harry Sharkeyowie

porwani wdziękiem cyrkówki zapalali do niej namiętną miłością.

Bessie Bolt zakochała się również, zakochała się w Sharkeyu. Gdyby był tylko jeden Sharkey, nie wahałaby się oddać mu rękę. Nie wiedziała jednak czy kocha Toma, czy Harrygo. Obaj wyglądający jednakowo, obaj podobnego charakteru byli jednakowo kochani. Wytworzyła się sytuacja groteskowa, ale i tragiczna zarazem.

Wreszcie nadeszła chwila, której się obawiała:

jeden z braci oświadczył się o jej rękę.

Nie mogła odmówić. Po paru dniach pytał ją, czy ślub może się odbyć już w przyszłym miesiącu. Bessie odpowiedziała serdecznym pocałunkiem.

Do pokoju wpadł wówczas Tom z okrzykiem: „Wszak niedawno zaręczyłaś się ze mną, a teraz całujesz Harrygo!?”

Bessie teraz zorientowała się, że

zaręczyła się z Tomem a małżeństwo przyrzekła Harryemu.

Postanowiła zrezygnować z małżeństwa, obaj byli jej bowiem jednakowo mili, nie chciała szczęściem jednego unieszczęśliwić drugiego. O decyzji swej nie zawiadomiła Sharkeyów. Zazdrość o Bessie

zrodziła nienawiść między braćmi.

Ktoregoś wieczora z mieszkania braci Sharkeyów rozległy się podniecone krzyki, a następnie strzały. Gdy sąsiedzi wyważywszy drzwi wtargnęli do wnętrza ujrzeli jednego z braci biegnącego po mieszkaniu z rewolwerem w rękę. Nie było wątpliwości:

nieszczęśliwy oszalał.

W jednym z pokoiów znaleziono Bessie i drugiego brata już nieżywych, zastrzelonych przez szaleńca.

Nieszczęślika odwieziono do szpitala dla umysłowo chorych. Czy jest to Tommy, czy Harry nikt nie może stwierdzić, a on sam popadł w melancholię i milczy jak zakłęt.

Na uboczu

Nie! Nie!

Darmo wycęgałbyś słuch, darmo wstuchiwałbyś się w słowa i melodie, płynące z głośnika; do mikrofonów Polskiego Radia nie padnie, broń Boże, słowo najłżejszej krytyki czegoś, co pochodzi z okolic „radosnej twórczości”. Bo radio nie znosi krytyki „czynników miarodajnych”, — a raczej „czynników miarodajnych” nie znoszą krytyki przez radio, choćby to była najłżejsza, najniewinniejsza satyra.

Jedyny wyjątek stanowiła śp. Wesoła Lwowska Fala, a do dziś — ale to już nadprogramowo — stanowią go różne „okazyjne” rozmówki reporterów radiowych z przygodnie spotkanymi ludźmi. Wtedy to coś-niecoś wymknie się z ust interlokutora — naturalnie wbrew woli konferensjera.

*

Na dowód autentyczna rozmówka, podsłuchana w głośniku. Było to w niedzielne popołudnie, dnia 12 września roku 1937 około godziny 15,25.

Siedziałem przy głośniku słuchając reportażu z Targów Wschodnich we Lwowie. Reportaż — jak to reportaż, czasem bardziej nudny — czasem mniej. Ale słuchałem.

Speaker rozmawia z kierownikiem

pewnej wycieczki. Pyta o to, o owo, aż nagle stawia pytanie:

— A podoba się panom radio?

— O tak, bardzo — odpowiada kierownik wycieczki, — tylko żałujemy bardzo, że Lwowska Fala już się skończyła, bo...

Ajwaj! Gwałt! Krytyka przez radio! Trzeba natychmiast przerwać! Ale jak? Żeby nie było skandalu...

Speaker więc gwałtownie przerywa kierownikowi wycieczki zamykając mu w pół zdania usta słowami, wypowiedzianymi zresztą w tonie niezbyt grzecznym:

— „No, proszę pana, to są tylko osobiste komplementy” (!?) (dosłownie).

Nieoczekiwanie kierownik wycieczki, który wziął rozmowę bardzo serio i zapomniał, że stoi przed mikrofonem, zaprotestował ostro:

— Nie! Nie!...

Protestowałby może dalej, gdyby nie to, że widocznie czymś przekonano go, że ma być cicho. Rozmowa potoczyła się dalej, urywana, sucha, nudna.

Szkoda, że Radio Polskie nie ma jeszcze telewizji. Do tej wesołej rozmówki radiostłuchacze zobaczyliby najmniej wesołą scenkę: zaambarasowaną minę speakera i sposób, w jaki przerwano owo „Nie” protestującego kierownika wycieczki. l-welm.



PRZYJACIELSKA USŁUGA